

## JESTEŚ NA MOJEJ DRODZE...

W latach okupacji sowieckiej zaszła zmiana w stosunkach między mieszkańcami Tykocina na niekorzyść ludności żydowskiej. Kiedy w 1939 r. wkroczyły tu sowieckie wojska, a później administracja, tak się złożyło, że akurat mnie nie było w Tykocinie. Byłem zmobilizowany. Na hasło państwa i rządu uczestniczyłem w działaniach wojennych. To trwało bardzo krótko. Kiedyśmy się wycofywali, wojsko szło na wschód, potem to wszystko poszło w rozsypkę... Znalazłem się kilkanaście kilometrów za Wołkowyskiem, kiedy spotkałem pierwsze kolumny wojska sowieckiego. Wrażenie miałem takie, że to jechały manekiny. Okropnie to wszystko wyglądało.

To, co się dzisiaj mówi o tych wydarzeniach, niezupełnie zgadza się z moją ówczesną oceną. Czy miałem wtedy możliwość oceny należytej? Miałem, bo już byłem po pięcioletniej praktyce jako nauczyciel. W 1934 roku złożyłem maturę na dobrej uczelni, jaką było Seminarium Nauczycielskie w Białymstoku. Wtedy matura znaczyła więcej niż dziś dyplom uniwersytecki. Przynajmniej w stosunkach społecznych tak to się układało. A mnie tak się życie ułożyło, że ono stanowiło dla mnie najlepszą szkołę. Na mnie to wszystko sprawiało takie wrażenie – że to nie sowieckie wojska bezpośrednio przeprowadzają jakieś akcje, zmiany, tylko że rękami tutejszych mniejszości Sowieci zaprowadzają swoje porządki. Tam, w Wołkowysku, najbardziej odczuwało się działania białoruskich osobników, a u nas prym wkrótce objęli Żydzi.

We władzach armii sowieckiej (tych władz było zresztą niewiele) politycy byli przeważnie pochodzenia żydowskiego. Oni przyjęli tutaj taką postawę – „Wasze się skończyło, nasze się zaczęło”. To było okropne. Raptem oni zaczęli odróżniać – my, wy. Przecież byliśmy sąsiadami. Ale nie można też uogólniać, bo niezależnie od tego przeciętni ludzie żyli sobie dalej – jak sąsiad z sąsiadem. Przecież były takie wypadki, że i Żydzi pomagali Polakom, i odwrotnie. Chociaż Sowieci przyszli jako nasi ciemiężcy, Żydom to nie przeszkadzało, przynajmniej niektórym. Najwięcej do powiedzenia mieli przywódcy i to było o tyle nieprzyjemne, że byli głośni, krzyczeli. A na przykład mój znajomy Żyd, księgarz Granat, po cichu powiedział – „Oni są głupcy, ja nie podzielam ich zdania”. Więc pytam – „Czemu wy, starsi, nie uciszycie ich trochę?”. A on – „My się boimy. Oni mogą wysłać nas do więzienia, na Sybir”.

Na pytanie, jaki był stosunek Polaków do Żydów w czasie późniejszym, w czasie Holokaustu, jednemu z posłów Knesetu, który był tu kiedyś u nas w bożnicy w Tykocinie, odpowiedziałem – „Nie oczekujcie od Polaków miłości! Szczególnie od tych, którym za poręką żydowską złamano życie całej rodziny. Bo jeżeli była rodzina licząca siedem osób, która żyła z ubogich zarobków szewca, i tego szewca wywieziono na Sybir... Ona straciła ojca i opiekuna. To co się dziwić...”

Były i takie wypadki – pewnego razu przychodzi do mnie późno wieczorem służąca bogatych Żydów i mówi, że u nich siedzą przy stole jacyś ludzie przy herbacie – naczelnik NKWD i inni. I pani podsłuchiwała rozmowę, że pana dzisiaj w nocy mają zaarrestować. To było zimą. Ona mnie ostrzegła z najlepszej woli. W końcu znalazłem się w ich łapach i całą noc przesiedziałem na badaniach NKWD, ale to ja poszedłem do nich sam. No, ale to już inna sprawa. Podałem przykład, kiedy mnie ostrzeżono... Więc na czym się opierać, badając stosunki między Polakami i Żydami?

W mojej ocenie Sowieci przyszli jak ślepe koty. W niczym się nie orientowali. Na wschodnich krańcach – w Gródku, Hajnówce, Wołkowysku – mieli przywódców. Tam Białorusini pierwsze skrzypce grali. A tu – wszędzie Żydzi. Oni byli przywódcami. Politrak to był Żyd.

Górowali osobowością, wykształceniem. Co najmniej 80 proc. ludzi wywieziono na Sybir za poręką Żydów – takie jest moje zdanie.

Żydzi, którzy przyjechali do Tykocina z innych guberni na początku wojny, także byli wywożeni na Sybir. Wywieziono też bogatych Żydów z Tykocina, np. Malarewiczów czy starszego Turka – felczera. Kiedy pracowałem przed wojną w Tykocinie, młodzież z rodziny Malarewiczów<sup>1</sup> była m.in. w naszej grupie lewicującej inteligencji. Ja i moja późniejsza żona także. Bardzo krytycznie odnosiłem się do przedwojennych stosunków społecznych. Nie miałem w rodzinie nikogo z „My, Pierwsza Brygada”. Działania grup lewicujących przed wojną były idealistyczne – Sowieci przed wojną zarzucali nasz kraj materiałami propagandowymi, i to dobrej jakości, które przedstawiały sowiecką Rosję jako krainę szczęśliwości – i nie było podstaw, by temu nie wierzyć. Chociaż ja osobiście nie wierzyłem.

[...] Niektórzy dali się na to nabrać. I Żydzi poszli na służbę. Wierzyli całkowicie nowej władzy i byli używani do podłych spraw. Nie służyło to wszystkiemu budowaniu stosunków przyjacielskich. Jak Niemcy wkroczyli w 1941 r., to ja widziałem na własne oczy fakty witania ich kwiatami! Tak dokuczali nam Sowieci, tak okropnie obchodzili się z ludnością! Ktoś mnie kiedyś zapytał: „A jednak pan przetrwał, jak pan to zrobił?”. Przetrwałem, bo uważałem ich za głębszych od siebie. Trochę to paskudnie brzmi, ale czymś nad nimi górowałem – cwaństwem, podstępem, chytryością, inteligencją?

Niezależnie od tego późniejszego orderu, na który nie zastażyłem (medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” – E.R.)<sup>2</sup>, ja nie potępiam, nie oceniam Żydów. Staram się przedstawić sytuację tak, jak ona wyglądała. Subiektywnie, bo każda ocena jest w pewnym sensie subiektywna. Ale jednak staram się patrzeć trzeźwo na to wszystko, nie angażować się ani po jednej, ani po drugiej stronie i nie dopuszczać uczucia, które by mąciło realizm zjawiska.

Trudno mówić o zorganizowanym oporze w latach 1939–1941 tu, w okolicach Tykocina. Sowieci wkrótce po zajęciu Polski zorganizowali szkoły. Podjąłem pracę w szkole



fol. ze zbiorów Muzeum w Tykocinie

Warszawa 1991 r. Ambasador Izraela Miron Gordon, uratowana Maria Dworzecka i odznaczony Wacław Białowarczuk podczas uroczystości wręczenia medalu *Sprawiedliwy Wśród narodów Świata*

<sup>1</sup> Rodzeństwo Malarewiczów – Feliks i Helena, deportowani w głąb ZSRS; po wojnie Helena Malarewicz, po mężu Krajewska, zamieszkała w Warszawie i stała się słynną malarką socrealistyczną.

<sup>2</sup> Zob. m.in.: *Those who helped*, Warszawa 1993, s. 95; J. Maciejewski, *Wacław Białowarczuk Sprawiedliwy wśród Narodów Świata* [w:] *Zagłada Żydów Tykocina*, Tykocin 1996; *Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat... Pomoc ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką w województwie białostockim. Informator wystawy*, Białystok 2003, s.16, 66.

w Sierkach. Pracowałem tam rok i później jeden rok w Sanikach. Dojeżdżałem do pracy z Tykocina, gdzie mieszkałem, i dzięki temu mogłem się wymigiwać od pewnych rzeczy, np. zebrań. Pytają się o zebranie – nie ma mnie ni tu, ni tu. To był taki moralny opór.

Ludzie widzieli, że to jest okupacja, ale niektórzy, jak np. ludzie z dotów społecznych, poparli nową władzę i byli zadowoleni. Były organizacje oporu militarnego – m.in. Armia Krajowa. Ja nie należałem, współpracowałem z nimi<sup>3</sup>. Ale to były działania mało skuteczne. W szkole świadomie działaliśmy tak, żeby nie wprowadzać tych treści sowieckich, żeby nie deprawować ludzi. Trzeba było tak działać, tak uczyć, aby pewne rzeczy przekazać „między wierszami”. Robiliśmy to świadomie.

Nic mi nie wiadomo o zorganizowanym oporze przeciw Sowiecom – nie odczuwało się tego. Z sowieckim aparatem było zresztą bardzo trudno walczyć. Oni byli przebiegli, podstępni. Na przykład ja mogłem powiedzieć coś w szkole, a nie byłem pewien, czy uczeń czegoś w domu nie powtórzy. Byli ludzie z tej biedoty społecznej, którzy mieli nadzieję, że nastąpi zmiana na lepsze i – jak oni powiadali – ten raj sowiecki tutaj zakwitnie. I dlatego niektórzy bezkrytycznie oceniali sytuację i służyli im, szkodząc też innym. Nie było możliwości, aby w sposób zorganizowany przyhamować działalność tych ludzi. Dużo było ludzi o postawie antysowieckiej. Zwłaszcza byli to ci, których rodziny ucierpiały, np. przez wywózki. Ta postawa narastała.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1941 r. stosunki wróciły do stanu sprzed wojny. Generalnie Polacy nie okazywali wrogich uczuć wobec Żydów. Tym bardziej że ci młodzi Żydzi, ci tzw. przywódcy – którzy byli blisko z Sowiecami – nagle zniknęli. Uciekli z wycofującymi się Sowiecami na wschód. [...]

W 1941 r. przyszła wiadomość o spaleniu synagogi w Białymstoku. W tym kręgu, gdzie się obracałem, zrobiło to ponure wrażenie, ale raczej nie było zaskoczenia. Z grupą nauczycieli żydowskich żyliśmy w przyjaźni, po koleżeńsku. Jeden z nich – dr Turek – powiedział mi – „Już my wiemy, co nas czeka”.

Dochodziły do nas wieści o morderstwach na Żydach, ale wtedy nie słyszałem o zbrodni w Jedwabnem. Musiał tam zadziałać jakiś czynnik, który w mentalności tej społeczności coś tak zmącił, że ci ludzie mogli się do tego posunąć. [...] Nie przypuszczam, aby Tykocin i Jedwabne tak bardzo się różniły. Były podobne w strukturze ludności, w strukturze społecznej, ludzkiej mentalności. Wydaje mi się, że w sprawie Jedwabnego jest jakaś tajemnica, jakiś piekielny podstęp. To jest niemożliwe, żeby ludność polska masowo zabijała. To wydaje mi się nie do pomyślenia.

Mord Żydów tykocińskich rozpoczął się w Zawadach. Niemcy kazali Żydom zebrać się rano. Zawieźli i zaprowadzili ich do Zawad, ulokowali w szkole. Z Zawad wozili ich do

<sup>3</sup> W czasie wojny obszar okolic Tykocina wchodził w skład Obwodu Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej Wysokie Mazowieckie. Teren obwodu pokrywał się z powiatem wysokomazowieckim i obejmował ponadto trzy gminy powiatu Ostrów Mazowiecka. W Rejonie I – Tykocin znajdowały się placówki: Kobylin, Kowalewszczyzna i Stelmachowo. Białowarczuk stykał się w codziennej pracy zawodowej z zaprzysiężonymi żołnierzami AK, udział środowiska nauczycieli w organizacji był bowiem znaczący: dowódcą plutonu AK w Tykocinie był nauczyciel ppor. Karol Kottowski „Grot”, „Topór”. W szkole w Sanikach, gdzie pracował Białowarczuk, uczył także Stanisław Podlasiński „Marek”, szef wywiadu obwodu. Kolejny nauczyciel – kpt. Władysław Frączak „Zbigniew” – pełnił funkcję I zastępcy komendanta obwodu. Szerzej na ten temat por. m.in.: Z. Gwozdek, *Białostocki Okręg ZWZ-AK (X 1939 – I 1945)*, t. I, Białystok 1993; W. Żarski-Zajdler, *Ruch oporu w latach 1939–1944 na Białostocczyźnie. Referat materiałowy*, Warszawa 1966, cz. 2; M. Kolendo, *Z dziejów tajnego nauczania w czasach okupacji 1939–1944*, Białystok 1966.

Łopuchowa<sup>4</sup>. I tam był też dr Turek<sup>5</sup>. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, ile plotek, ile legendy, ale on miał żonę, to była przepiękna kobieta; widziano, jak ona spacerowała po szosie z jakimś oficerem niemieckim. Prawdopodobnie ona wtedy siebie wymieniła na męża. On przetrwał i po wojnie mieszkał w Białymstoku. Spotkałem go po wojnie, ale wyczułem, że nie chce rozmawiać<sup>6</sup>. A przed wojną przychodził do nas, korzystaliśmy z jego usług medycznych. Jego brat miał elegancki sklep z butami w Tykocinie. Oni, Malarewicz, Goldsteinowie, aptekarz Granat i my, nauczyciele – to była elita towarzyska. Żona Turka pojechała z tym oficerem samochodem, nie została rozstrzelana w Łopuchowie.

Tego dnia Polakom kazano pilnować otoczenia. Niemcy postawili ich po kątach, pilnowali, nikogo nie puszczali. I to wszystko. Takie pacholećki niemieckie... I później zostali u Niemców na służbie. No, byli tacy, którzy u Niemców wiernie służyli, a byli też tacy, którzy służyli wcześniej Sowietaom. Za Niemców, już później, stosunki były trochę inne. W czerwcu 1941 r., kiedy Niemcy opanowali te tereny, to już po zmroku zamykali się na cztery spusty i nikt ich wtedy nie widział. Z Sowietaami było inaczej – jak mrok, to oni dopiero zaczynali żyć. Byliśmy trochę swobodniejsi przy Niemcach, mimo że o 21 była godzina policyjna i oni mogli bez ostrzeżenia zastrzelić człowieka na ulicy.

Tutaj było takie małżeństwo Rubinfeld ze Lwowa – nauczyciele, bezdzietni. Wieczorem, o godzinie 10, w przeddzień ogłoszenia, żeby się Żydzi zbierali tutaj na rynku, poszedłem

<sup>4</sup> 25 i 26 VIII 1941 r. Niemcy przeprowadzili akcję zagłady Żydów w Tykocinie. Na podstawie rozkazu ogłoszonego wieczorem 24 sierpnia wszyscy Żydzi mieli się stawić następnego dnia o 6 rano na tzw. Końskim Rynku. Stamtąd, po uprzednim sprawdzeniu list i poinformowaniu, że będą przesiedleni, część Żydów załadowano na samochody, a część pieszo popędzono w kierunku Łomży. W szkole we wsi Zawady był punkt zborny, z którego ciężarówki odwoziły Żydów do lasu, w pobliżu wsi Łopuchowo, gdzie były wykopane kilka dni wcześniej trzy doły. Tam ich rozstrzeliwano. Pierwszego dnia rozstrzelano ok. 1400 osób. Drugiego dnia akcję w Tykocinie powtórzono i ponownie rozstrzelano ok. 700 Żydów. Akcją dowodził Hermann Schaper. Polakom z Łopuchowa nakazano zasypać doły, informując, że są w nich pochowane ofiary działań wojennych. Szerzej na ten temat zob. m.in.: *Tiktin Memorial Book*, Chicago 1949; E. Rogalewska, *Zagłada Żydów Tykocina*, Tykocin 1996.

<sup>5</sup> Dr Mojżesz Turek, ur. w 1908 r. w Tykocinie, absolwent USB w Wilnie, do 1939 r. prowadził praktykę lekarską w Tykocinie, w l. 1939–1941 ordynator w sowieckim szpitalu, w 1941 r. podczas zagłady Żydów tykocińskich uciekł z Tykocina i przebywał wraz z bratem Menachemem – prawnikiem, w getcie białostockim. Zimą 1943 r. został potajemnie wywieziony wraz z bratem z getta białostockiego przez Władysława Łupińskiego, członka AK ze Stelmachowa. Turkowie ukrywali się na kolonii Stelmachowo u rodziny Kozłowskich. W pomoc było zaangażowanych kilka rodzin. Po wojnie Mojżesz Turek pracował w WUBP w Białymstoku, był m.in. naczelnikiem Wydziału Służby Zdrowia (1 IX 1945 – 10 IX 1945) w stopniu majora. Menachem Turek zbierał relacje ocalałych Żydów w Żydowskiej Komisji Historycznej w Białymstoku. Opuścili Polskę w 1948 r. W latach 80. XX w. w Turkowie wystąpili z inicjatywą przyznania medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” Janowi Smółko – organizacie z Tykocina. Medal przyznano w 1985 r. (zob. A. Pyżewska, *Pomoc ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką w woj. białostockim* [w:] *Kto ratuje jedno życie...*, s. 40–41).

<sup>6</sup> Bracia Turkowie zaangażowali się po wojnie w pracę w resorcie bezpieczeństwa. Mojżesz Turek był współpracownikiem sowieckiego kontrwywiadu wojskowego *Smiersz* (zob. kwestionariusz osobowy M. Turka, AIPN Bi, 98/1303 i AIPN Bi, 043/27240). Początkowo mieszkali i działali w Tykocinie: „Lotna brygada NKWD w Tykocinie poszukuje P.O.W., legionistów, narodowców, AK oraz roczniki od 1911–1925 r. Słowem wszystkich Polaków. Przyczyną aresztowań są żydzi w ogóle, a z nazwiska dochodzi Turek adwokat, brat d[okto]ra” (cyt. za: 1–4 listopada 1944 r. *Raport informacyjny* [w:] J. Zieleniewski, *Raporty wywiadu AK-AKO-WiN Obwodu Wysokie Mazowieckie w Okręgu Białystok 1944–1947*, t. I, Białystok 2001, s. 24).

do Rubinfeldów i mówię – „Chodźcie, ja was ukryję”. Oni pytają – „A jak ty to zrobisz?”. „To już moja sprawa – mówię – ja mam umówionego na kolonii rolnika, on was przetrzyma”. „A co dalej?” – pytają. „Nie wiem – odpowiadam – a kto wie, co będzie dalej? Wy wiecie?” Ale oni nie zgodzili się. „Co będzie wszystkim, to i nam”.

Na drugi dzień mój brat jechał z Wizny rowerem i spotkał tę kolumnę Żydów, pędzonych przez Niemców do Zawad. Na czele szło kilku Żydów z instrumentami, musieli grać, kazano też im śpiewać pieśni! Widział też Rubinfeldów (mój młodszy brat bywał u mnie przedtem, raz byli Rubinfeldowie i on ich poznał). Wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatni raz – Rubinfeld (on się chyba Mojżesz nazywał) powiedział do mnie – „Jak będziesz coś wiedział o mnie, to napisz do mojej rodziny, do Lwowa. Adres: Na Skatce 3, nazwisko to samo. Dojdzie, czy do brata, czy do kogoś innego...” Nie było do kogo napisać. „A gdyby kiedyś, po wojnie, doszło do spotkania – mówił – to masz taką rodzinną pamiątkę jako znak rozpoznawczy”. Była to papierośnica srebrna, oksydowana, z masą perłową. Mam ją do dzisiaj. Kiedyś przyjeżdżały różne wycieczki, pytałem, czy może jest ktoś ze Lwowa, czy zna rodzinę Rubinfeldów, ale nikogo takiego nie spotkałem... Chciałem opowiedzieć tę historię i przekazać pamiątkę rodzinie.

W tę noc przed zagładą Żydzi nie spali i roznosili swoje dobra, by je przechować wśród ludzi. No, bo jakaś nadzieja była. Żydzi nie dopuszczali do siebie najgorszej myśli, że będą rozstrzelani. Niektórzy roznosili rzeczy wartościowe po ludziach, a inni chowali w domach – pod podłogą, w kominie. Bo im powiedzieli, że jak ktoś idzie na tę zbiórkę rano, to żeby nie brał nic i nie zamykał mieszkania. No, przecież wiadomo było, że zacznie się plądrowanie. I tak było. Do mnie przyszedł księgarz Granat, przyniósł mi taką paczuszkę na przechowanie. Ja mówię, że nie przyjmę, bo moja jedyna troska to przetrwać piekło wojenne i nie podejmuję się opieki, szczególnie że ja jestem sam – dzisiaj jestem tu, jutro mogę wyjechać w drugi koniec Polski. On na to – „W takim razie ja zaniósę do kogoś innego”. U mnie zostawił futro. To futro do dzisiaj jest, taki króciak z tego zrobiłem...

Burmistrz Tykocina, który w czasie wojny współpracował z Niemcami, Jan Fibich, po wojnie został wywieziony na Syberię i nie wrócił stamtąd. Znałem go osobiście. Przychodził wtedy stołować się do mojej teściowej. Słyszałem, że Abraham Kapica napisał w swojej książce, że Polacy, z burmistrzem na czele, napisali list do władz niemieckich, który miał być – zdaniem Żydów – powodem ich zagłady<sup>7</sup>. Moim zdaniem to jest wielka bzdura! Przecież Niemcy od 1933 r. prowadzili konsekwentną politykę zagłady na skalę światową.

Po Zagładzie Niemcy zwołali grupę ludzi, którzy znosili do magazynów sprzęty i ubrania z żydowskich domów. Później były sprzedawane, a uzyskane pieniądze wptacone zostały do Amtskomisariatu. Zawołali mnie tam i powiedzieli – „Będzie pan u nas buchalterem”. Nie pytali się, czy ja umiem, czy się znam. Siedziałem nad tym z miesiąc. Zebrało się z tej sprzedaży 65 tys. marek. Wcześniej żydowskie domy ludzie splądrowali. Niektórzy znaleźli bardzo wartościowe rzeczy. Byli tacy, którzy już pierwszego dnia je przepili, a byli tacy, co uważali, że to święństwo...

Jak się skończyła ta akcja, zaksiegowałem to wszystko i pytam komisarza, co z tym wszystkim robimy. On mówi – „Niech pan pisze”. Mnie bardziej dręczyło to, że ja tu siedzę

<sup>7</sup> Zob. A. Kapica, *Młody chłopiec rozmawia ze śmiercią* (hebr.), Tel Awiw 1994, tłum. na jęz. polski E. Wroczyńska (w zbiorach Muzeum w Tykocinie). Kapica, trzynastoletni wówczas chłopak, jako jeden z nielicznych uratował się z zagłady tykocińskich Żydów. 25 VIII 1941 r. uciekł z rynku, z daleka słysząc wystrzały i odgłosy masowej egzekucji. Po kilku dniach błąkania się po nadnarwiańskich łąkach przedostał się do Knyszyna, do swojej babki, później został przewieziony do getta w Białymstoku, a stamtąd do obozu koncentracyjnego w Treblince. Przeżył wojnę, po wyzwoleniu wyjechał do Izraela.

jako ich **urzędnik**. Na jesieni, w 1941 r. Niemcy założyli tzw. Stadtsgeschäft. Zażądali, żeby oddać na ten cel pomieszczenia na plebanii<sup>8</sup>. I wtedy na dobre zaczęła się moja działalność wywiadowcza. To był doskonały punkt do spotkań i wymiany informacji bez żadnych podejrzeń. A zaczęło się od mienia żydowskiego. Tych splądrowanych domów było jakieś trzy czwarte, a oni sprzedali rzeczy z tej jednej czwartej. Niby było ogłoszenie, że za rabunek mienia żydowskiego jest kara śmierci, ale u nich za wszystko była kara śmierci, więc nikt się tym nie przejmował. Sami Niemcy też się tym nie przejmowali. To wszystko trudno sobie wyobrazić – człowiek opuszcza swoje mieszkanie i nie bierze ze sobą nic. Wszystko pozostawia – meble, sprzęty, ubrania... Takich mieszkańców było setki. Niektórzy znajdowali dywany, ubrania, Bóg wie co. A ci ich robotnicy przynosili z tych mieszkań rzeczy do magazynu na rogu, naprzeciw kościoła. To był żydowski sklep...

W sklepie był skup artykułów rolnych z jędenastu wsi, obowiązkowy. Niemcy narzucali kontyngent. Chłopi je przywozili, myśmy skupowali i odwozili do magazynu. Przyjeżdżały samochody i zabierały – nabiał, miód, węgnę. Myśmy mieli zaopatrzyć ludzi na kartki (było ich chyba 800), był też dział *Nur für Deutsche*. To było ogromne przedsiębiorstwo, obracałem ogromnym kapitałem. Mogłem mieć obrót do 100 tys. marek (miesięczne zarobki robotnika wynosiły 30–40 marek). Więc już potem, w Białymstoku, moja pozycja była bardzo dobra.

Drugim źródłem zaopatrzenia sklepu, dużo korzystniejszym, był nielegalny handel. W Białymstoku np. na ulicy Lipowej był taki luksusowy sklep obuwniczy Młyńczyka. W czasie wojny pochowano wszystkie luksusowe, drogie towary, żeby nie były poddane kontrybucji. Takich punktów w Białymstoku było kilkaset. Później, jak przyszła bieda, sklepikarze kolejno



Dyplom Instytutu Yad Vashem dla Lucyny i Waclawa Białowarczuków

<sup>8</sup> Plebania przy kościele rzymskokatolickim w Tykocinie była ośrodkiem podziemia niepodległościowego. Proboszcz, ks. Julian Łosiewski „Sybirak”, był od września 1941 r. w szeregach ZWZ-Armii Krajowej, w maju 1944 r. odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami (W. Żarski-Zajdler, *Ruch oporu...*, cz. 2, s. 160). Wikarym był w tym czasie ks. Czesław Bruliński „Serafin”, od 1939 r. w ZWZ, kapelan wojskowy, zastępca szefa duszpasterstwa w Okręgu AK Białystok, zmarł w 1944 r. na tyfus, odznaczony Krzyżem Walecznych. Na plebanii przebywał także jego brat por. Władysław Bruliński „Oskar”, od 1939 r. w konspiracji, następnie w ZWZ, początkowo zastępca komendanta miasta Łomża, od 1942 r. szef BIP Obwodu AK. Jan Smółko – organizator z Tykocina, od 1942 r. w AK, podaje opis działalności konspiracyjnej na plebanii, gdzie m.in. wypisywano fałszywe metryki (także Żydom), na których podstawie wystawiano fałszywe kenkarty (AIPN Bi, 1/1462, Protokół przesłuchania Jana Smółko 8 XII 1994 r., k. 36).

wyciągali te towary i sprzedawali. Nie można było sprzedawać ich na ulicy, tylko przez zaufaną osobę. A ja miałem takiego fajnego braciszka, młodszy był ode mnie siedem lat. Nie było w Europie granic, których on by nie przekroczył; kursował na trasie Warszawa–Białystok. Wiele rodzin miało jakieś powiązania z Gubernią, a on miał różne kontakty. Jak trzeba było z Grodna, z magazynów machorkę, a tutaj chłopcy nie mieli co palić, to on mi przywiózł 10 tys. paczek tej machorki. To była sensacja na cały Tykocin. Mało tego, jeszcze Białystok tym zawaliłem, bo ja potrzebowałem dwóch tysięcy, nie dziesięć.

Miałem już wtedy styczność z organizacją podziemną AK, która się dobrze zawiązała w Tykocinie. Mieliśmy nawet taką naradę we trójkę. Wtedy była taka zasada, że nie znano się więcej niż trzy osoby. Wszystko odbywało się w ścisłej tajemnicy. Jeden to był komendant, drugi też komendant, ale innego oddziału, a ja miałem za zadanie wszystko wiedzieć – czyli wywiad<sup>9</sup>. Ułatwieniem było to, że miałem w dokumentach zapisany zawód „Kaufmann”, nie nauczyciel. To też taka dziwna historia w moim życiorysie – raptem stałem się handlowcem i biznesmenem na wielką skalę! Cały Białystok mnie znał, obracałem ogromnymi kapitałami. Tylko dla siebie nic z tego nie miałem. Nie, przepraszam – pięć złotych dziesięciorubłówek zostało mi z tego okresu, tzw. świnek. Za te pieniądze zdobywałem informacje dla organizacji.

W czasie wojny przyjechały do Tykocina dwie Polki-komunistki i Żydówka, która przemianowała się na Paulinę Pakulską i udawała, że jest ich służącą. Kiedy Paulina Pakulska została aresztowana<sup>10</sup>, jej dziecko, niespełna trzyletnie, zostało na placu i my z żoną wzięliśmy to dziecko... I później to dziecko wyrosło, to dziecko się wykształciło... Matka jej, po pobycie w obozach koncentracyjnych, przebywała na rekonwalescencji w Szwecji, skąd wróciła później. Przyjechała do Polski w 1946 r. i chyba przez miesiąc mieszkała u nas w Tykocinie, a potem pojechała do Warszawy. Tam zrobiła się z niej gruba ryba. Pracowała w ministerstwie. Kilka lat po wojnie zginęła w wypadku samochodowym, a Marysię adoptowali państwo Dworzeccy. To ta mała Marysia zainicjowała medal, później.

Ale nawet na spotkaniu na Zamku Królewskim w Warszawie, kiedy odbierałem medal przyznany przez Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie, mówię – „Nie róbcie ze mnie bohatera! Ja nie ratowałem narodowości żydowskiej, ja dziecko widziałem przede wszystkim, opuszczone dziecko!”. Niektórzy pozamykali drzwi. A jej matka powiedziała – „Idź gdziekolwiek”. To było na placu Czarnieckiego. Żona poszła i przyniosła to dziecko.

<sup>9</sup> Władysław Bruliński przytacza fragment relacji ppor. Karola Kotłowskiego: „Bezpośrednio po złożeniu przysięgi w marcu 1942 r., którą odebrał ode mnie ppor. Nartowicz Roman »Narew«, komendant placówki Stelmachowo, otrzymałem rozkaz zorganizowania dwóch drużyn AK. W krótkim stosunkowo czasie zorganizowałem drużynę w Tykocinie liczącą 12 ludzi i we wsi Saniki, 17 ludzi. Dowódcą drużyny w Tykocinie został Kozłowski Zygmunt, a w Sanikach Korsikowski Jan. Łącznikiem moim z drużyną w Tykocinie był Olkowski Witold, a w Sanikach Cackowski [...] W tym okresie praca nasza koncentrowała się na szkoleniu, zdobywaniu uzbrojenia, tajnym nauczaniu i pomocy Żydom. Rozpoczęto również pierwsze akcje sabotażowo-dyweryyjne. Szeroką pracę prowadził wywiad i propaganda...” (AIPN Bi, Archiwum Zdzisława Gwozdka, W. Bruliński „Oskar”, *Materiały*, s. 234).

<sup>10</sup> 30 V 1944 r. w Tykocinie Niemcy dokonali masowej akcji aresztowania ludności cywilnej. Był to odwet za brawurową akcją oddziału pod dowództwem por. Tadeusza Westfala „Karasia”, w wyniku której na trasie Białystok–Jeżewo w okolicy Rzędzian zostały spalone samochody i zginęli oficer żandarmerii oraz Amtskommissar z Tykocina (szerzej na ten temat zob. m.in.: AIPN Bi, Archiwum Zdzisława Gwozdka, W. Bruliński, *Materiały*, s. 261–263). Wg badań Marzeny Pisarskiej-Kalisty z Muzeum w Tykocinie w wyniku akcji odwetowej aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych w Gross-Rosen i Stutthofie, a później do innych obozów na terenie III Rzeszy, ok. 400 osób z Tykocina i okolic (Zbiory Muzeum w Tykocinie).

W maju 1944 r. była w Tykocinie akcja aresztowań i wtedy nastąpiła zmiana żandarmerii. Pewnego razu przyszedł do nas na podwórko żandarm, taki młody. Marysia bawiła się akurat na podwórzu. On tak z nią rozmawia, a to była taka czarnula, i pyta ją – „Jakie ty masz oczy?”. Ona mówi – „Czekaj, pójdę do lustra i zobaczę. Czarne”. Ale ja widzę, że on coś za dużo węższy... Potem parę dni przeszło, on znowu jest na podwórzu. Nie mogę mu zabronić, to w końcu żandarm! Trzeba coś wymyślić. I potem przestał przychodzić, bo u mnie w kieszeni siedział. Ja się nie liczyłem, ile to kosztowało. Skąd wziąłem pieniądze? Miałem nosa. W Białymstoku była taka bocznica. Pewnego razu patrzę, na platformy przeładowują drożdże. Pytam – „Czyje to?”. Oni mówią, że nie wiedzą. To ja mówię – „Sprzedajcie mi, wy teraz jesteście właścicielami”. – „Ale to kradzież”. – „A kto teraz nie kradnie?” Naradzili się między sobą i pytają, ile dam. Kilogram był po 2,70, a ja dałem po 5. Naładowali mi na platformę 300 kg. Jak to przywiozłem tu, do Tykocina, to wszystkie wsie wokół miały materiał na samogon. Coś tam gospodynie wzięły do ciasta, a reszta – do samogonu. Ruch był ogromny, wszyscy pędzili do sklepu, a ja się tym świetnie bawiłem i grałem Niemcom na nosie... Moim zadaniem było wszystko wiedzieć, zbierać informacje i ja im łapówek nie żałowałem. Raz przyszedł do mnie sekretarz żandarmerii i mówi, że chce na święta wystać żonie jakiś prezent. „Co by tu u pana można kupić?” „Niech pan się nie martwi” – mówię. Zapakowałem mu taki elegancki prezent i grosza go to nie kosztowało. Potem przyniósł mi list od żony, z podziękowaniem. On nie miał przede mną tajemnic, a to właśnie było moim obowiązkiem w stosunku do organizacji i państwa polskiego.

I to dziecko jest dzisiaj kierownikiem Instytutu Fizyki Jądrowej Uniwersytetu w Waszyngtonie. Przystąpiła mi niedawno list z Arabii Saudyjskiej, gdzie przebywała jako ekspert z grupą do spraw budowy elektrowni atomowej, i fotografie, jak ona sobie jedzie na wielbłądzie i zwiedza. Dba o moje zdrowie, przysyła mi leki, których u nas nie ma. No, ale to jej inicjatywa. Ja nie chciałem, ona to wszystko zorganizowała. [...]

Kiedy powiedziałem do Marysi – jesteś na mojej drodze życia kwiatuszkiem.

**Wystuchała i opracowała Ewa Rogalewska**

Relacja została nagrana 9 lutego 2001 r.

